

Stanisław Mikke

Wolne i odpowiedzialne

Palestra 49/3-4(555-556), 142-146

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Wolne i odpowiedzialne

Ci, którzy uczestniczyli w Nadzwyczajnym Zjeździe Adwokatury w dniu 10 stycznia 2004 roku, ale nie tylko ci, byli zdumieni relacją, jaka ukazała się tamtego dnia w „Wiadomościach” Programu I Telewizji. Nie miała ona nic wspólnego z tym, co działo się podczas tego Zjazdu.

Widziałem zachowanie ekipy telewizyjnej. Reporterki, która nie przekroczyła zapewne lat dwudziestu dwóch (jak się później okazało, stażystki), nie interesowało w najmniejszym stopniu to, o czym mówiono. Wysłała na salę operatora kamery, by „coś tam skręcił na przebitkę”, a sama polowała na rozmówców. Zadawała wciąż monotematyczne pytania pod z góry przygotowaną tezę: adwokatura to nepotyzm do kwadratu, nieuczciwe gry, gdzie stawką są duże pieniądze, adwokatura to zamykanie oczu na potrzeby młodych i zdolnych, i na rzeczywistość. Nie czekając na uchwałę, na to, czym Zjazd zakończył się, wczesnym popołudniem zwinęła ekipę.

„Relacja wprowadzała w błąd opinię publiczną (...) reporter przygotowujący materiał najprawdopodobniej w ogóle nie zapoznał się z przebiegiem Zjazdu” – napisał Prezes NRA do szefów Telewizji, Programu I i „Wiadomości” oraz Komisji Etyki Mediów.

Odpowiedziała tylko Komisja Etyki TVP S.A. nadsyłając orzeczenie z 8 marca 2004 roku, podpisane przez jej przewodniczącą Halinę Marszałek-Mrozowską: „Autor i wydawca ww. materiału «Wiadomości» naruszyli «Zasady etyki dziennikarskiej w Telewizji Polskiej», mianowicie p. 2 – Informacje i opinie: *Informacje należy oddzielić od opinii. Informacje powinny być bezstronne, rzetelne i dokładne, zweryfikowane w odrębnych źródłach. Opinie powinny być uczciwe, nie mogą przeinaaczać faktów, nie mogą też być formułowane wskutek ingerencji czy to osób prywatnych, czy instytucji.*

Omawiany materiał – stwierdza Komisja Etyki TVP – nie miał czytelnego tematu, mieszał informację z publicystyką. Konkluzja materiału nie uwzględniała faktu, że w chwili emisji obrady Zjazdu jeszcze trwały i nie podjął on końcowych uchwał, o czym widzowie nie zostali poinformowani. (Było jeszcze gorzej, uchwałę podjęto kilka godzin wcześniej – przyp. St. M.). Te błędy warsztatowe musiały doprowadzić do naruszenia standardów etycznych. Zdaniem Komisji Etyki TVP, do błędów warsztatowych należy również zaliczyć sytuację, w której wersję emisyjną relacji o ważnym wydarzeniu opracowuje, według dyspozycji redaktora wydania, dziennikarz, który nie był na miejscu i posługuje się materiałem filmowym zrealizowanym przez stażystkę”.

Orzeczenie otrzymali wszyscy zainteresowani. I co? Ano nic. Czy ktoś kogoś przeprosił? Czy wyemitowano informację prostującą nierzetelne informacje? A może autor opracowania relacji Mariusz Rudnik i wydawca Lena Bretes ponieśli, choćby symboliczne i dla przykładu młodym, konsekwencje za jawną, rażącą nierzetelność? To są oczywiście pytania retoryczne. Zapewne wzbudzają wśród telewizyjnych odpowiedzialnych śmiech pusty. Bo co taka Komisja może zrobić? Jak to mówił w kabarecie Jan Kobuszewski: „może mi...”

Poziom programów, zwłaszcza informacyjnych, telewizji, zresztą nie tylko publicznej, jest od dawna przedmiotem zastrzeżenia w najwyższym stopniu krytyki. Ale świat dziennikarski zaskarbił sobie ostatnimi czasy, całkiem słusznie, sympatię, szacunek i uznanie za przyczyną tzw. dziennikarstwa śledczego, zwanego gdzie indziej mniej prokuratorско, dziennikarstwem dociekającym, dociekliwym lub węszącym.

To dzięki nim, cudem historii, jak całe społeczeństwo, wolnym, ujawniono afery i skandale przede wszystkim, ale przecież nie tylko, ludzi władzy. Wielu dziennikarzy działa odważnie, nierzadko na granicy instynktu samozachowawczego. Korupcje na niebotyczną skalę, zbójcekie wręcz powiązania, nieobyczajność, wszystko to działałoby się nadal przynosząc coraz większe szkody, gdyby nie dociekający, dociekliwi, węszący. Roboty nie zakończyli, bo końca jej nie widać, w kraju zżeranym plagami, w dużej mierze odziedziczonymi, lecz i świeżego już wylęgu.

Ale zasługi, nawet te najbardziej ważne, zbiorowości czy jednostki nie mogą być, to przecież jasne, legitymacją, czy też przepustką do bezkarności. A o taką właśnie, a nie o wolność słowa walczą dziś, w związku ze sprawą redaktora A. M. z Polic niektórzy, nawet pierwsze twarze, ale powtórzmy, niektórzy dziennikarze.

Od początku nagłośnienia sprawy przeinaczano proste fakty, czyniąc kolejne doniesienia nieczytelnymi, nie tylko dla przeciętnego odbiorcy. Stworzono chyba przekonujący obraz, w istocie przecież nieistniejącego u nas, zagrożenia wolności słowa. Poza łamami i kamerami wielu mówiło, co o tym „medialnym wydarzeniu” myśli i jak należy oceniać osobę, niezależnie od tego, kim jest, która nie chce przyjąć do wiadomości i zastosować się do prawomocnego wyroku. Która postanawia nie przeprosić kogoś, kogo – jak ustaliły sądy – niesprawiedliwie pomówiła. Przypomnijmy, A. M. został skazany prawomocnie za to, że „w okresie od 4 do 11 lutego 2001 r. w Policach, działając w wykonaniu z góry powziętego zamiaru, bę-

dąc redaktorem naczelnym Tygodnika Regionalnego *Wieści Polickie* (...) pomówił P. M. o właściwości lub postępowanie mogące poniżyć go w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego do zajmowanego stanowiska rzecznika prasowego Zarządu Gminy w Policach, w ten sposób, że umieścił w treści gazety nieprawdziwe zarzuty, wyrażające się w zestawieniu czytelnej fotografii biletu wizytowego P. M. z wyraźnie widocznym jego imieniem i nazwiskiem z tytułem *Promocja kombinatorstwa*, a nadto w stwierdzeniach, że (...) *tylko jakiś szantaż, niezrozumiałe partyjne szachy mogły wynieść M. na funkcję naczelnika* oraz, że P. M. *pozwala sobie (...) na zniechęcanie do współpracy z innymi nośnikami reklamy, czyniąc sobie niedozwolony użytek z pełnionej funkcji publicznej*", czyli o czyn z artykułu 212 § 2 kodeksu karnego.

Ale z wolna zaczynały się przedzierać pojedyncze głosy. Że postępowanie A. M. z Polic to jawna pogarda dla wyroków ferowanych w imieniu Rzeczypospolitej. Można też było znaleźć próbki poziomu tekstów redaktora naczelnego *Wieści Polickich*. Np. „Podczas sesji do Anny (żony pokrzywdzonego P. M. – przyp. St. M.) podszedł jej małżonek. Myśleliśmy, że będzie jej wkładał język do ucha, a on tylko coś wyszeptał”.

Mimo docierania pełniejszego obrazu z Polic festiwal trwał nadal. Drugiego kwietnia, w relację z ogłoszenia postanowienia Sądu Najwyższego o niewstrzymaniu wykonania kary w związku z kasacją wniesioną przez Rzecznika Praw Obywatelskich, wpleciono migawkę z sali Sądu w Szczecinie. Gdy sędziowie opuszczają salę, oskarżony mówi wyraźnie: „kompletna bzdura”, co w tym ujęciu brzmiało jak komentarz nie tylko do ogłoszonego wtedy wyroku, ale i do orzeczenia Sądu Najwyższego.

Nawet najbardziej oględni z oględnych mówią, że wmontowanie tej sekwencji w relację z Sądu Najwyższego i nieopatrzenie jej stosownym komentarzem, jest niczym innym, tylko podżeganiem do lekceważenia sądów i ich decyzji.

Byłem wówczas na sali w Sądzie Najwyższym. Trzy młode reporterki z operatorami kamer. Z toczonych rozmów wynikało, że nie mają zielonego pojęcia o prawie, a kasacja brzmi dla nich równie osobliwie i nieznanie jak probacja. Jedyne publicysta z „Rzeczypospolitej”, stały bywalec sądów, wiedział w czym rzecz i usiłował wyjaśniać, bo telewizyjne reporterki niczego z ustnego uzasadnienia Sądu nie rozumiały, choć było ono „kawa na ławę” i jeszcze bardziej. Wiadomość, że spóźniony A. M. z Polic zbliża się do Sądu, zelektryzowała wąską owego dnia dziennikarską grupkę, bo akurat był to czas apogeum „wymiany poglądów” na temat „Orlenu” między premierem, a jego byłym ministrem. „Bierzemy go” rzuciła telewizyjna reporterka w dziwacznym jakimś żargonie. No i wzięli go. Znów dziennikarz z Polic pojawił się z podniesionym czołem na ekranach telewizorów, i tym razem w gmachu Sądu Najwyższego powtarzał swoje przekonania i oceny. Wcześniej – pamiętamy – odgrywano sceny przed jego domem z pocałunkami ciężarnej żony, a ze szczególnym napięciem na tle murów i przed bramą zakładu karnego.

Gdzie my jesteśmy? W jakich rękach spoczywa informacja o tym, co w kraju i na świecie? – pytało wielu obserwujących ten bezprecedensowy spektakl zakończony,

zaiste, zdumiewającym, na dodatek zapożyczonym, widowiskiem, z kłatką tygrysa przed budynkiem Sejmu.

Trzeba przyznać, że wielu patrząc na ten zgiełk zastanawiało się, zwłaszcza na początku, czy akurat w tym przypadku słusznie wymierzona została A. M. kara pozbawienia wolności w wymiarze 3 miesięcy, nawet przy warunkowym zawieszeniu jej wykonania? Czy należy karać za nadużycie wolności słowa, jak to się potocznie mówi, więzieniem?

Kodeks karny, którego, jak wiadomo, jednym z najważniejszych twórców jest obecny Rzecznik Praw Obywatelskich, wprowadził, i słuszności tego rozwiązania nikt dotychczas nie kwestionował, że jeśli za, powiedzmy, rozsiewanie plotek o charakterze przestępczego pomawiania drugiej osoby, pośród nawet niewielkiej społeczności, można iść za kratki, to komuś, kto mając broń, bywa, że o śmiertelności sile, a taką są środki społecznego przekazu, posługuje się nią w sposób nieodpowiedzialny, docierając z przestępczym pomówieniem do tysięcy, a bywa, że do milionów, powinna grozić surowsza, a nie o łagodniejszym charakterze, kara.

Nie trzeba się przekonywać, fałszywa informacja może zniszczyć, skutki niesprawiedliwego pomówienia są bądź bardzo trudno naprawialne, bądź pozostawiają trwałe dewastujący ślad.

Może więc w ogóle należy znieść karę pozbawienia wolności za czyny z artykułu 212 kodeksu karnego? Nie widać, nie słychać głosów za.

Ci, którzy w pierwszych chwilach byli skłonni podchodzić z wysokim sceptycyzmem do kary pozbawienia wolności „odwieszonej” dziennikarzowi z Polic, po wysłuchaniu jego kolejnych wypowiedzi i poznawaniu bliższych okoliczności, mimo efektów zagłuszenia, tego sceptycyzmu systematycznie pozbywali się. By wreszcie skonstatować, że jeśli taka wątpliwość istniała, to zachowania A. M. z Polic wątpienia takie całkowicie rozwiąły.

Dość długo, co zaskakujące, nikt nie zauważał, zakładając prawidłowość prawomocnego wyroku, iż przy takiej postawie dziennikarza z Polic, jakakolwiek wymierzona mu kara łagodniejszego rodzaju, grzywna lub ograniczenie wolności, ba, nawet warunkowe umorzenie, wcześniej czy później doprowadziłoby do kary pozbawienia wolności.

Coraz jednak częściej pojawiały się głosy, że za demonstracyjne lekceważenie wyroków sądów A. M. otrzymał premię w postaci ogólnopolskiego rozgłosu. Rozgłosu, któremu wtórowała także grupka młodzieży akademickiej z Białegostoku z profesorem filozofii na czele, co skwapliwie pokazała telewizja.

Czy byłoby inaczej, czy angażowałiby się ci sami, gdyby od początku gazety informowały, że w tle polickiej sprawy było ponoć to, że pomawiany urzędnik gospodarskim okiem spojrzął na wydatki gminy, namówił burmistrza na wydawanie *Informatora Polickiego* i tym samym skończyły się wcześniejsze dochody A. M. z płatnych ogłoszeń gminnych oraz z innych jeszcze zleczanych prac? Czy ujawniane teraz przez niektórych dziennikarzy okoliczności, łącznie z ilustrowaniem poziomu *Więści*, wpłyną na poziom egzaltacji?

Z wielkim trudem toruje sobie drogę oczywista prawda, że rzecz idzie o nic innego, tylko o wolne, ale odpowiedzialne słowo. No cóż, to co się wydarza w związku ze sprawą A. M. z Polic, jak się wydaje, możliwe jest tam, gdzie prestiż sądownictwa został mocno nadszarpnięty. Płacą więc sądy i za swoje grzechy.

Bodaj pierwszym mocnym głosem, prostującym skrzywioną perspektywę, był tekst pt. „Nie tylko Bóg i Historia” Marka Skały, opublikowany w „Rzeczpospolitej” z 23 marca 2004 roku. Może trzeba nie tylko nazywać się, lecz być rzeczywiście skałą, żeby idąc pod prąd znaczącej części swego środowiska powiedzieć: „Ostatnie komentarze medialne na temat relacji dziennikarze – sądy są zaskakująco żenujące. Na dodatek – w znacznej mierze nierzetelne, czasem wręcz nieprawdziwe”. I dalej: „Jakiś dziennikarz pomówił kogoś, nie przedstawił dowodów, przeprosić nie chce. Odmawia też zwrócenia się do sądu osobiście, bo ... jest przekonany o swoich racjach. To jakiś rodzaj aberracji. Dziennikarz jest przekonany, więc system prawny kraju ma stawać na głowie?”

Marek Skała kończy swój tekst wezwaniem: „Nie budujmy sobie specjalnych praw i nie uzurpujmy odpowiedzialności wyłącznie przed Bogiem i Historią”. Formuluje też ważką myśl: „Tyle czwartej władzy, ile odpowiedzialności”. Oby.